

TEMATY TYGODNIA

- 12 Jacek Żakowski
Jak CBA zmieniło Polskę
- 16 Rozmowa z byłym prezesem Trybunału Konstytucyjnego **Jerzym Stępnem** o tym, co sędziom nie przystoi i dlaczego tyłu wśród nich oportunistów

POLITYKA

- 18 Mariusz Janicki
Gdy nam już oddadzą wrak

KRAJ

- 22 Juliusz Ćwieluch
Państwo w roli pirata drogowego
- 26 Joanna Podgórska
Proboszcz despota
- 28 Piotr Pytlakowski
Świadek koronny poszedł siedzieć
- 30 Barbara Pietkiewicz
Jak pani z poczty na pożyczki naciągała

RYNEK

- 32 Adam Grzeszak
Smart shopping – reguły sprytnego kupowania
- 36 Joanna Cieśla
Prezes kontra górnicy

**EDUKATOR
FINANSOWY**

- 38 Cezary Kowanda
Nie masz etatu – czy dostaniesz kredyt?
- 40 Aleksandra Lipczak, Cezary Kowanda
Jak Hiszpania sama wpędziła się w kryzys
- 42 Witold M. Orłowski
Czy zmienimy gospodarkę zmieniając stopy procentowe

ŚWIAT

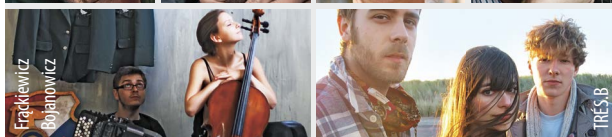
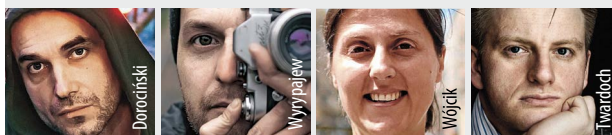
- 44 Łukasz Wójcik
WIELKA BRYTANIA Z Unią czy bez?
- 48 Marek Ostrowski
ALGERIA Afrykański PRL
- 52 Jędrzej Winiecki
CHINY Ile mogą media



10 W co grało CBA



66 Łosie atakują



72 Laureaci Paszportów POLITYKI 2012 i Kreatorzy Kultury



103 Egipski gniew – odsłona druga

HISTORIA

- 54 Tomasz Kobyłański
Tajemnice oświęcimskiej willi Rudolfa Hössa
- 57 Jerzy Besala
Helena z Rurykowiczów – piękna rosyjska żona polskiego króla

NAUKA

- 60 Edwin Bendyk
Co państwo chce dać w Internecie za darmo
- 63 TECHNOECHO
- 64 Jarosław Marczuk
Wirtualni asystenci
- 66 Wojciech Mikołuszek
Łoś – wielki zwierz, wielki problem

KULTURA

- 72 20 LAT PASZPORTÓW POLITYKI
Laureaci nowi i starzy
- 78 Janusz Wróblewski
Tarantino wymierza sprawiedliwość białym
- 80 Dorota Szwarzman
Reżyserzy szaleją w operze
- 82 Dorota Jarecka
Sztuka kopiowania w sztuce
- 84 KAWIARNIA LITERACKA
Grażyna Plebanek
- 85 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 86 Rozmowa z mistrzem Polski sommelierów **Andrzejem Strzelczykiem** o tym, co podać do bigosu
- 89 Sebastian Frąckiewicz
Artbooki i fotobooki unikalne i modne
- 92 Dominika Pszczółkowska
Kasta francuskich gwiazd kina

NA WŁASNE OCZY

- 100 Przemysław Kozłowski
W Kairze znów gorąco

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia • 68 Afisz • 95 Tym
- 96 Passent • 97 Stomma
- 98 Do i od redakcji • 98 Fusy, plusy i minusy • 106 Polityka i obyczaj



GALERIE ANDRZEJA MLECZKA: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAKOWSKA 140

www.mleczeko.pl

sławomir mizerski z życia sfer

Tuleya i wszystko jasne

felieton



Zaskakująco jasny i zrozumiały język ustnego uzasadnienia, jakie sędzia Tuleya wygłosił do wyroku wydanego na doktora G., wywołał prawdziwy szok wśród polityków i prawników. Sędzięo pozytywnie oceniła Krajowa Rada Sądownictwa i większość opinii publicznej. Niektórzy mają jednak wątpliwości, czy uzasadnienie to nie było przypadkiem zbyt jasne i zrozumiałe. Innymi słowy, czy w swoim intelektualnym dziwactwie sędzia Tuleya trochę się nie zagalopował?

Zdaniem polityków PiS i Solidarnej Polski sędzia ten powinien być powściągnąć niepohamowaną skłonność do jasnego i zrozumiałego wypowiedzania się. Poseł Ziobro nie ma wątpliwości, że bezprecedensową jasnością i zrozumiałością wypowiedzi Tuleya złamał kodeks sędziowskiej etyki. A według opinii posłanki Kempy swoim drastycznie jasnym

i zrozumiałym wystąpieniem sędzia ten zwyczajnie „naruszył kanony państwa prawa”. Jako profesjonalista z kilkunastoletnim stażem powinien był wiedzieć, że jego zadaniem jest sądenie oskarżonych, a nie sądenie czegośkolwiek na jakikolwiek temat, a następnie uzasadnianie tego w przystępny i zrozumiały sposób.

Nasuwa się pytanie, czy niezależny sędzia musi wszystko uzasadniać jasno i zrozumiale? Czy nieuzasadniona jasność i zrozumiałość sformułowań sędzięo nie narusza powagi jego zawodu? W końcu, żeby mówić jasno i zrozumiale, nie trzeba być sędzią i odbywać męczących studiów oraz aplikacji. Nie oszukujmy się, żeby mówić jasno i zrozumiale, wystarczy być piekarzem, hutnikiem, rolnikiem albo operatorem dźwigu. Jak wiadomo, nie za jasność i zrozumiałość wypowiedzi cenimy prawników, ale za fachowość, która sprawia, że potrafią mówić

długo i nie wiadomo o czym. Są uzasadnione obawy, że jeśli Tuleyę postanowią naśladować inni sędziowie, to i oni zaczną wkrótce mówić jasno i zrozumiale, a przecież nie o to w wymiarze sprawiedliwości chodzi.

Przykre, że chcąc się popisać przed opinią publiczną, sędzia Tuleya skrzywdził dużą grupę byłych funkcjonariuszy CBA. Tymczasem gdyby nie wielogodzinne przesłuchania prowadzone przez tych funkcjonariuszy dniem i nocą, sędzia Tuleya nie tylko miałby dziś kogo sądzić, ale nie miałby również czego uzasadniać. Ci funkcjonariusze już w CBA nie pracują, ale jestem przekonany, że gdyby sędzia Tuleya został przez nich precyzyjnie przesłuchany, doceniłby ich profesjonalizm. Chociaż nie można wykluczyć, że potem przez jakiś czas nie byłby w stanie wypowiadać się w sposób jasny i zrozumiały.

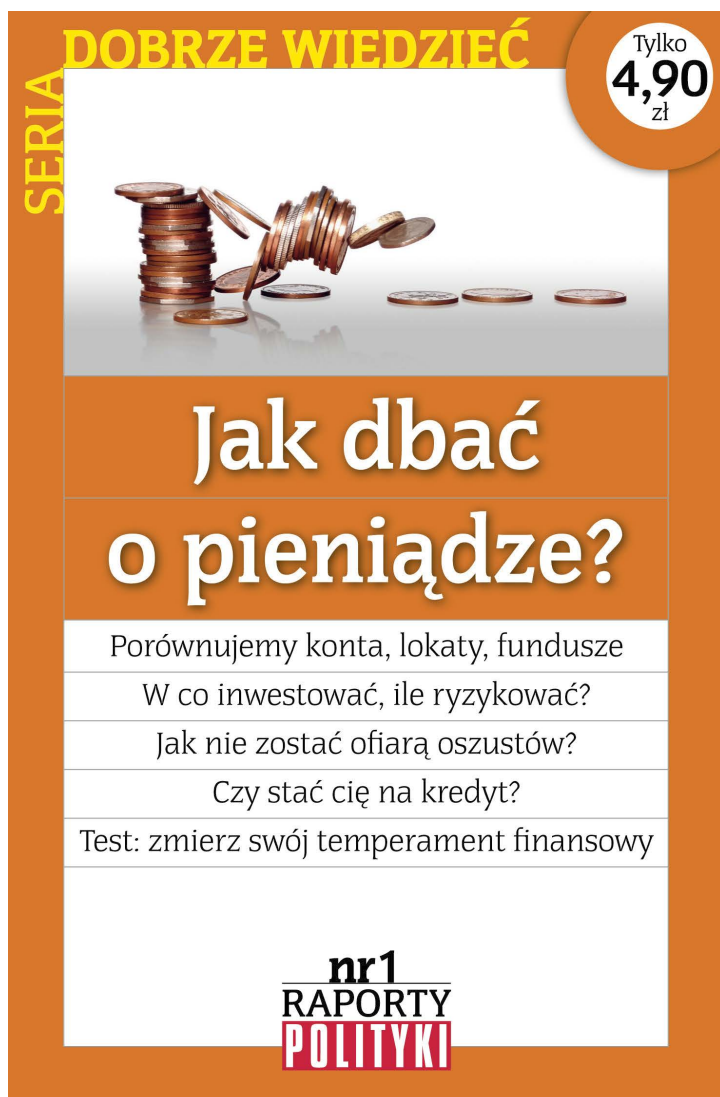
Nowa seria wydawnicza

RAPORTY POLITYKI

DOBRZE WIEDZIEĆ

W miarę krótko. Rzeczowo i kompetentnie.

Raporty POLITYKI to seria krótkich, przydatnych i poręcznych książek. Do czytania w komunikacji miejskiej, w czasie przerwy w pracy, między zajęciami na uczelni, w oczekiwaniu na spotkanie. To lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy chcą wiedzieć więcej i lepiej radzić sobie z wyzwaniami współczesnego świata.



Raport nr 1 „Jak dbać o pieniądze?” już w sprzedaży

Dla przezornych i rozrzutnych, dla oszczędnych i nieliczących się z groszem, dla zapobiegliwych i nierozważnych. Dla głównych żywicieli rodzin i tych, którzy są na ich utrzymaniu. Dla inwestujących i zastanawiających się, jak dotrzeć do pierwszego. Dla tych, którzy nie chcą marnować swoich pieniędzy.

Kolejne Raporty do kupienia co dwa tygodnie w dobrych punktach sprzedaży prasy. Dostępne także jako e-booki oraz w wersji na iPada.



Znów grypa

Wirus grypy A/H1N1 szaleje w całym kraju. Ale to nic nadzwyczajnego! Błędem jest nazywanie go świńską grypą, ponieważ nie jest już wcale groźniejszy od grypy sezonowej, z którą mamy do czynienia co roku między styczniem a marcem. Spośród tegorocznych wirusów grypowych, które krążą po Europie, 72 proc. to właśnie A/H1N1 i dostępna od jesieni szczepionka przed nim zabezpiecza. Sygnały o 100 tys. zachorowań na grypę też są fałszywe, ponieważ nie można rozpoznać infekcji bez wykonania pogłębionej diagnostyki, a tę przeprowadza się zwykle w szpitalach już u osób ciężko chorych. Lekarze rodzinni nie pobierają od pacjentów wymazów z gardła i nie przesyłają ich do sanepidów. Byłoby zresztą niecelowe robić tak u wszystkich – najczęściej padamy ofiarą zwykłego przeziębienia wywołanego zarazkami paragrypowymi (przeciwko którym nie chroni szczepionka), mogącego jednak przekształcić się w zapalenia zatok, oskrzeli lub uszu.

– *Na grypę wskazuje nagła i wysoka gorączka powyżej 39 stopni* – podkreśla prof. Lidia Brydak, kierownik Krajowego Ośrodka ds. Grypy z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH. Niektórzy lekarze wy-



© MAKSYMILIAN RIGAMONTI/REPORTER

posażeni są w tzw. testy przyłóżkowe pozwalające szybko ocenić, co jest powodem zakażenia, ale zdaniem specjalistów mają one wartość testów ciążowych – bez względu na wynik i tak trzeba je weryfikować w laboratorium.

Jedyną metodą, by w sezonie podwyższonych zachorowań ustrzec się przed infekcją, jest odpowiednia higiena: zakażeni i pokasłujący muszą zostać domu, nie powinni zasłaniać ust rękami, którymi dotykają wspólnych przedmiotów (kichać należy w chusteczkę, którą zaraz trzeba wyrzucić, lub w zgięte ramię). Wszyscy musimy często myć ręce. – *I dobrze jest zaszczepić się przeciwko grypie* – po raz kolejny apeluje prof. Brydak.

Przy tradycyjnym braku zaufania Polaków do szczepień pojawiły się tu w tym roku nowe przeszkody. Po pierwsze, aptekarze nie przechowują już szczepionek przeciwgrypowych, ponieważ liczą każdy grosz i nie chcą inwestować w zapasy. Mogą zamówić szczepionkę, ale pacjent nie lubi przychodzić do apteki dwa razy. Drugi powód to ustawowy zakaz zakupu szczepionek przez poradnię, gdzie pacjent może być od razu zaszczepiony. – *Pacjent musi otrzymać receptę, wykupić szczepionkę w aptece i wrócić na zastrzyk do lekarza. Często do takiej wędrowki jest zniechęcony* – mówi dr Jacek Krajewski z Federacji Porozumienie Zielonogórskie, skupiającej lekarzy rodzinnych. Wraz z prof. Brydak ma nadzieję, że minister zdrowia odstąpi od tego przepisu, na którym korzystają na razie wyłącznie apteki i... wirus grypy.

(PAW)

Bezbronne państwo

Joanna Solska



Proces, który ma się stać rozliczeniem działalności Komisji Majątkowej, zlikwidowanej w 2011 r., jednak się odbędzie. Sprawa, mimo nacisków, nie zostanie umorzona. Oskarżeni, głównie członkowie komisji oraz reprezentujący interesy Kościoła Marek P., były oficer SB, staną przed sądem. Zostaną im postawione zarzuty działania na szkodę państwa, korupcji oraz poświadczania nieprawdy. To pierwszy i, najprawdopodobniej, jedyny sukces państwa w tej sprawie. Komisja Majątkowa została powołana do życia w 1989 r. Miała przyznać instytucjom kościelnym rekompensaty za mienie zagrabione w czasach PRL. Mimo że komisja działała przy MSWiA, przez kilkanaście lat jej działalność nikt nie podniósł zarzutu, że wahało się wychyliło się w drugą stronę i że KM działała na szkodę państwa. Ani tego, że w państwie prawa, jakim chciała być Polska po 1989 r., każdy werdykt, nawet Komisji Majątkowej, powinien być zaskarżalny. Od decyzji KM odwołania jednak nie było. W sumie Kościołowi przekazano ponad 65,5 tys. ha.

Dopiero przez ostatnie kilka lat media zaczęły zarzucać Komisji Majątkowej bardzo poważne nieprawidłowości, potwierdzone potem przez liczne kontrole. Ich schemat był w każdym przypadku podobny. Parafia czy zakon zgłaszały do komisji szkodę, jaka została im wyrządzona (niekoniecznie w czasach PRL, były przypadki, gdy od III RP domagano się zwrotu ziemi, którą zabrał car po 1864 r.), a ta szukała rekompensaty. Ponieważ utracone dobra od dawna znajdowały się w innych rękach, instytucjom kościelnym najczęściej zwracano zupełnie inną ziemię, znajdującą się jeszcze w rękach samorządów lub państwa. W najbardziej atrakcyjnych punktach

miast. Poszkodowani nawet nie mogli się odwołać, musieli oddawać grunty, na których mieli zamiar budować szpitale, szkoły czy inne obiekty użytku publicznego.

Do chorego mechanizmu doszły przekręty. Miały polegać na tym, że kilkakrotnie zaniżano wycenę gruntów, które – w postaci rekompensaty – stawały się własnością zakonów lub parafii. Komisja Majątkowa nawet nie próbowała wartości owoch gruntów szacować. Opierała się na wycenach przedstawionych przez pełnomocników Kościoła!

Interesów państwa nie bronił nikt. A jednak w kolejnych sprawach prokuratury najczęściej stosowały umorzenie. Nie dlatego, że nie dopatrzyły się działań na szkodę państwa, korupcji itp. Umarzano, ponieważ... uznano, że członkowie Komisji Majątkowej nie byli funkcjonariuszami publicznymi. Wniosek – mogli państwu szkodzić.

W tym kontekście sam fakt, że przed sądem krakowskim proces przeciwko Markowi P. i członkom Komisji Majątkowej jednak się odbędzie, stanowi przełom. Jeśli sąd potwierdzi zarzuty, śmiało można będzie powiedzieć, że dzięki Komisji Majątkowej Kościół odzyskał dużo więcej, niż stracił. Wzbożaci się bezprawnie. A mimo to nikt mu dzisiaj już tego nie zabierze. Komisja Majątkowa szkodziła bowiem państwu w majestacie prawa. Co najwyżej ukarani zostaną oskarżeni.

Na wyrok potwierdzający nieprawidłowości działania komisji z nadzieją czekają jednak samorządy lokalne, którym KM odebrała najatrakcyjniejsze grunty. Poszkodowane gminy także już ich nie odzyskają, ale będą mogły zażądać rekompensaty finansowej... od państwa. Państwo, czyli my wszyscy, zostanie oskubane po raz drugi.

Matka Madzi osądzona i skazana

Na niebanalną formę ogłoszenia aktu oskarżenia zdecydował się katowicki sąd, którzy uznał, że w przypadku Katarzyny W., bohaterki najdłuższej kryminalno-romansowej mydlanej opery w dziejach III RP, trzeba wybrać nie sądową salę, ale media, głównie zaś tabloidy. Najwyraźniej sądowi bardzo spieszyło się z wyręceniem prokuratora, a może nawet chciał go zastąpić. Proces ma się zacząć w początkach lutego, a tu sąd nie dość, że nakazał areszt dwa razy dłuższy, niż wnioskował prokurator, to jeszcze uznał, że akt oskarżenia, zanim go prokurator odczyta, może stać się ogólnie dostępny. Podobnie jak dowody w sprawie, obficie obecnie przez media cytowane, jak choćby pamiętnik Katarzyny W., który publikowany jest w sporych fragmentach, czasem bardzo intymnych. Cytuje się też obszernie fragmenty z opinii medycznych i psychologicznych, w tym z tej najbardziej przez prokuraturę chronionej, ustalającej, że córka Katarzyny W. została uduszona, czyli z opinii rzec można koronnej. Prokuratura zarzekała się, że znała ją ledwie kilka, może kilkanaście osób, a tu proszę, za sprawą sądu może jeszcze przed procesem poznać ją cała Polska. Prokuratura myślała zresztą o utajnieniu sprawy, o to zamierzali wnieść adwokaci, ale nikt już nie musi się trudzić. Zwyciężyła zasada wymiaru sprawiedliwości, można powiedzieć, jawnego aż do bólu, bo przecież rzecz dotyczy dramatycznej śmierci dziecka i takie przypadki zazwyczaj traktowano ze sporą ostrożnością. Są bliscy, którzy cierpią, jest opinia publiczna, która zawsze czuje się wzburzona, nawet jeśli jej



przedstawiciele własne dzieci w domu tłuką, i której wcale nie wyda się wystarczające możliwe dożycie dla Katarzyny W.

Nie interesowałam się dotąd sprawą śmierci Madzi. Teraz za to mogę poznać bez śledzenia procesu cały, dokładnie opisany przebieg kluczowego zdarzenia, czyli uśmiercania dziecka, widziany oczywście oczami prokuratury. Szczególnie wiele cytatów odnosi się bowiem właśnie do przebiegu dnia śmierci dziecka i drastycznych metod użytych do pozbawienia go życia. Tu akt oskarżenia cytowany jest w mediach słowo po słowie, z ogromną wiernością, by nie powiedzieć lubością. Opinię publiczną epatuje się każdym szczegółem, nawet tym jednym być może wypalonym po zarzębaniu ciała papierosem czy beztróskim esemesem do męża (w trakcie uśmiercania dziecka oczywście, aby kupić pieczarki, skoro już jest na mieście). Po tych opisach nikt nie ma wątpliwości, że Katarzyna W. cynicznie i z premedytacją niechciane dziecko zamordowała. Media to już przesądziły, wydały wyrok, a nawet wykonały egzekucję, chociaż prokurator nadal zapo-

wiada proces jako poszlakowy, a praktycy sądowi mówią, że umyślne spowodowanie śmierci udowodnić będzie szalenie trudno, bo nawet ów pamiętnik zawierający plany zamordowania jest jedynie dowodem w sprawie, a nie przyznaniem się do winy. Bywa, że świadkowie mówią w śledztwie coś innego niż potem w sądzie.

To, co zrobił katowicki sąd, jest w naszym wymiarze sprawą bez precedensu i można zachodzić w głowę, dlaczego w sprawie trudnej, poszlakowej, w dodatku niezwykle delikatnej zdecydował o ujawnieniu praktycznie wszystkiego. Dotychczas źródłem medialnych przecieków były policja, służby specjalne, prokuratura, a przecieki na taką skalę zdarzały się głównie wtedy, kiedy dowody zebrane w sprawie były kruche. Właśnie dyskutujemy nad przypadkiem dr. Mirosława G. (s. 10), gdzie dowodów na bardzo wiele zarzutów po prostu nie było, ale przeciekiem nie było końca. Służyły sterowaniu opinią publiczną, aby uznała winę od razu.

Tym razem jednak mamy decyzję sądu o ujawnieniu sprawy w takiej skali, że właściwie proces jest już niepotrzebny. Bez względu na to, co ostatecznie zostanie ustalone, Katarzyna W. jest już w publicznym niby-procesie osądzona i skazana. Nawet gdyby pojawiły się jakieś nowe okoliczności, zostaną ocenione jako ewentualne kręctwo sądu, oskarżyciela, obrońcy. Mamy do czynienia ze skandalem bez precedensu, na który nie widać żadnej reakcji. Prokuratura przekazała sprawę do sądu i może co najwyżej patrzeć ze zdumieniem, jak jej akt oskarżenia hula po mediach, jak dorzucane są nowe szczegóły mające oskarżoną ostatecznie pograć (może miała drugie dziecko, bo była podobno w dwumiesięcznej ciąży, co się z nim stało, też je zamordowała?). Zresztą prokurator może się czuć zadowolony, sąd odwała za niego kawał roboty. Krajowa Rada Sądownictwa milczy, minister sprawiedliwości, zwykle skłonny do pospiesznych komentarzy, też jakoś nie zwrócił bacniejszej uwagi na to, co się stało. Środowiska prawnicze się nie odzywają. Milczą stowarzyszenia zajmujące się prawami człowieka. Czyżby Katarzyna W. została już pozbawiona wszystkich praw?

Dzieje się to w czasie, kiedy za sprawą sędziego Igora Tulei opinii publicznej tak dobitnie przypominano, co może oznaczać przedwczesne ferowanie wyroków, co, zdarzając się, zostaje z materiału dowodowego, ile warte są zeznania świadków. Być może w sprawie Katarzyny W. jest inaczej, ale jej już nie dano szansy na obronę, pogwałcono zasadę domniemania niewinności. Przychylność mediów zyskał za to katowicki sędzia Adam Chmielnicki, ponoć doświadczony karnista, orzekający w katowickim sądzie okręgowym już od sześciu lat. A może jednak to nie on powinien orzekać, może tę sprawę należy przenieść do sądu stosującego bardziej rutynowe metody postępowania?

Jan Koza



Biuro nieszczęśliwych podwładnych

Rozmowa z **Tomaszem Warykiewiczem**, byłym doradcą szefa CBA Mariusza Kamińskiego, współtwórcą zasad pracy funkcjonariuszy pod przykryciem

Jak pan trafił do CBA?

Odszedłem z policji, moje CV wędrowało po świecie. Któregoś dnia zatelefonowano z CBA. Poszedłem na spotkanie z szefostwem tej tworzącej się właśnie instytucji. Uzgodniłem szczegóły co do mojej roli i tak się tam znalazłem.

Jako specjalista od operacji specjalnych?

Moje zadanie nie zostało nigdy do końca określone. Zresztą koniec był szybki, bo pracowałem w CBA zaledwie trzy miesiące. Nie werbowałem wtedy ludzi, nie kierowałem operacjami specjalnymi. Oceniałem dokumenty pod kątem prawnym, doradzałem, wreszcie przygotowałem program szkolenia początkowego dla funkcjonariuszy, którzy przyszli tam prosto z cywila.

A nie miał pan wrażenia, że będzie to służba działająca w myśl zasady: cel uświęca środki?

Nie, ale miałem świadomość, że Mariusz Kamiński jest amatorem, zresztą on sam tego nie krył. Wiedziałem, że on ma w głowie projekt i potrzebuje ludzi do jego realizacji. Sprawiał wrażenie, że umie słuchać, zachowywał się racjonalnie. Wtedy na pewno nie był typem człowieka, który po trupach będzie zmierzać do wytyczonego celu.

Jaka była proporcja profesjonalistów do amatorów w tej instytucji?

To była ogromna mieszanina, myślę, że jedna trzecia to byli cywile bez doświadczeń policyjnych. Część trafiła tam z ulicy, bo złożyli aplikacje korzystnie zaopiniowane, inni prawdopodobnie z czyjegosi polecenia.

Znał pan Małego Tomka i Dużego Tomka, jak sędzia Igor Tuleya nazwał dwóch agentów CBA?

Dzisiejszego posła Tomasza Kaczmarka znałem jeszcze z policji. Był moim podwładnym i w pewnym sensie uczniem, bo przechodził szkolenia, które prowadziliśmy.



Zdjęcia operacyjne z inwigilacji Beaty Sawickiej

Uczeń przerósł mistrza?

Uczeń poszedł w zupełnie nieznanym przez niego samym kierunku. Niektórzy nabierają fałszywego przekonania, że jak pracują w służbie specjalnej, to mają specjalne prawa i mogą sobie pozwolić na więcej, bo popełnione błędy nigdy na jaw nie wyjdą. To absolutnie infantylne przekonanie, ale ono jest dość powszechne.

Policjny przykrywko wcy to byli solidnie wyszkoleni rzemieślnicy, którzy potrafili pracować podporządkowując się decyzjom przełożonych i wykonując zadania według ustalonych standardów. Ale jak się takim ludziom pozwoli przekroczyć próg kompetencji, to

zaczynają pływać w stylu dowolnym. W policji funkcjonowało takie powiedzenie, że podwładny bez mądrego przełożonego jest nieszczęśliwy. Mam wrażenie, że w CBA podwładni byli nieszczęśliwi.

A Dużego Tomka też pan szkolił w policji?

Jego nie kojarzę. Jeżeli to prawda, że na jego prośbę pielęgniarka wynosiła ze szpitala MSWiA dokumentację, to mniej istotne jest, że obiecywał dziewczynie małżeństwo. On podlegał do przestępstwa. Oboje powinni usłyszeć zarzuty. Kategoria kontratywu dopuszcza, że funkcjonariusze mogą fałszować dokumenty w celu maskującym, ale nie pozwala podlegać do kradzieży dokumentacji medycznej zawierającej wrażliwe dane pacjentów.

Duży Tomek nie usłyszał zarzutów. Pracował metodami, które ówczesne CBA akceptowało.

Widocznie uległ magii pracy w służbie specjalnej. Uważałem, że nazywanie CBA służbą specjalną jest nadużyciem. To powinna być po prostu podobna do policyjnej służba specjalistyczna, do walki z korupcją, o kompetencjach rozszerzonych o obowiązki edukacyjne, badawcze i kontrolne.

ROZMAWIAŁ PIOTR PYTLAKOWSKI
Jacek Żakowski o CBA – s. 12

Przy prezesie i z prezesem



© M.P.

Cztery lata temu, pochodzący z małej miejscowości Zofiów (woj. łódzkie), **Tomasz Jędrzejczak** (rocznik 1981) wysłał e-mail do Janusza Piechocińskiego, w którym

zadeklarował, że chce dla niego pracować. – Napisalem, że jestem młody, mam doświadczenie i nie boję się marzyć. Kilka dni później zaczęliśmy współpracować – wspomina Jędrzejczak. Donald Tusk powoła go wkrótce na stanowisko sekretarza stanu w Kancelarii Premiera, odpowiedzialnego za kontakty z parlamentem. Zastąpią go wicemarszałek Sejmu Ewę Kierzkowską, której zawsze politycznie bliżej było do Waldemara Pawlaka niż do nowego prezesa PSL. Jędrzejczak ma dobre kontakty z posłami – pracował w pięciu biurach poselskich

PSL, spędzał długie godziny w klubie parlamentarnym jako asystent Janusza Piechocińskiego. Nowy prezes PSL nie chciał odrywać żadnego posła od sejmowych ław i dlatego postanowił wysłać do Kancelarii właśnie Jędrzejczaka. Darzy go zaufaniem i ceni za umiejętności organizacyjne. – *Skończyłem studia socjologiczne w SGGW, cztery podyplomówki, m.in. z rolnictwa, zarządzania zespołem, jestem szkoleniowcem również z zakresu organizacji czasu* – opowiada o sobie nowy minister.

W szeregach PSL mówi się, że jest współautorem sukcesu Piechocińskiego. – *Jeździł z nim właściwie wszędzie, organizował spotkania, szykował przemówienia, był na każde wezwanie, czym jego żona nie była zachwycona, ale nie mają jeszcze dzieci, na razie postanowił poświęcić się karierze* – opowiada jeden z ludowców. Nie ma

więc czasu na pisanie wymyślonego cztery lata temu doktoratu o mężach stanu, którym sondażowa demokracja uniemożliwiła rozwinięcie skrzydeł. Nowego prezesa PSL uwiódł tym, że do polityki przyszedł ze sporym doświadczeniem zawodowym. – *Wicepremier nauczył mnie wielu maksym, a jedną z najważniejszych jest taka, że musisz coś mieć przed wejściem do polityki, aby coś do niej wnieść* – mówi Jędrzejczak. Jak na 32-latkę ma dość długie CV, bo pracował już w 20 miejscach, często równocześnie (był m.in. telemarketerem, pracował w wojewódzkim urzędzie pracy i świętokrzyskim urzędzie marszałkowskim i prowadził własną działalność gospodarczą z zakresu doradztwa). Mówi o sobie, że jest człowiekiem bardzo ambitnym, więc wychodzi na to, że w polityce dopiero się rozkręca.

(DĄB.)

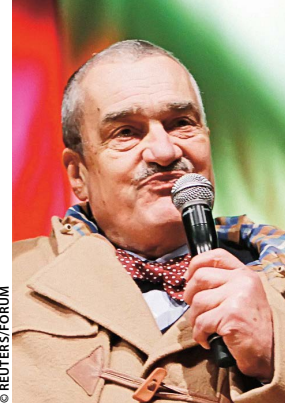
Premier Miedwiediew z małżonką oczekują na rozpoczęcie mszy bożonarodzeniowej 7 stycznia 2013 r.



Połączyć Boże Narodzenie z Nowym Rokiem

Protodiakon Andriej Kurajew, profesor Moskiewskiej Akademii Duchownej, zaproponował stałe przeniesienie prawosławnego Bożego Narodzenia, z 7 stycznia na dzień Nowego Roku i jednocześnie obchodzenie obu świąt. Według Kurajewa, teologicznie „nasza era, a zatem każdy nowy rok i tak datuje się od urodzin Chrystusa”, a więc obecne rozdzielanie świąt jest „nielogiczne i dziwne”. Kurajew skrytykował także swoich rodaków, że głównie świętują Nowy Rok, podczas gdy na obchody Bożego Narodzenia „sił już nie starcza”.

Ale w tym roku z siłami Rosjan było chyba wszystko w porządku, bo świąteczne kanikuły potrwały od 1 aż do 8 stycznia. Liturgie bożonarodzeniowe odbyły się w 9 tys. cerkwi, które ochraniało prawie 50 tys. policjantów. Jeśli chodzi o Nowy Rok, to w samej Moskwie w masowych imprezach i jarmarkach miało uczestniczyć ponad 6 mln osób. Nieprzemyślnym podarkiem świątecznym był natomiast znaczący wzrost cen wódki oraz biletów na wszystkie środki publicznej komunikacji.



Książęcy finał

Przed drugą turą wyborów prezydenckich czeka Czechów wyjątkowo ostra kampania. Z pierwszej tury zwycięsko wyszli: faworyzowany był socjaldemokrata Milosz Zeman oraz czarny koń tych wyborów – aktualny minister spraw zagranicznych **Karel Schwarzenberg**. Ten drugi zdobył o niecały 1 proc. głosów mniej od zwycięzcy, ale tak naprawdę to on wygrał najwięcej. 75-letni nobliwy pan z książęcego rodu podbił serca Czechów. Zmęczeni latami afer i kolejnych skandalami korupcyjnych, postawili na człowieka kryształowo czystego.

Zeman jest jego przeciwieństwem. On i obecny prezydent kraju Vaclav Klaus symbolizują tutejszą demokrację gabinetową, w której najważniejsze decyzje podejmuje się w zaciszu partyjnych kancelarii. Ewentualne zwycięstwo Schwarzenberga oznaczałoby, że na szczycie piramidy władzy znajdzie się człowiek niezainteresowany takimi praktykami. Przy takiej stawce wyborcza walka pójdzie na całego. Schwarzenberg jest katolikiem, wywodzi się z germańskiej arystokracji – aż się prosi, żeby sięgnąć do ideowych zasobów tradycyjnego czeskiego nacjonalizmu. Ataki na Zemana będą odmiennego typu, ich przedsmak dała wypowiedź jednego z przegranych kandydatów. „Nie mogę na niego zagłosować, to człowiek związany z praską mafią” – powiedział.

Ale Tuba!

My czcimy 150-lecie powstania styczniowego, londyńczyki – 150-lecie Tuby, jak przezwali pierwsze w świecie metro. Nazwa stąd, że tunele podziemne metra kojarzyły się właśnie z tubami czy rurami. Pierwsza linia została otwarta dla publiczności 10 stycznia 1863 r. w centralnym Londynie po trzech latach budowy. W ciągu kilku miesięcy liczba pasażerów wzrosła do 26 tys. dziennie, choć skarżyli się oni na trudności z oddychaniem spowodowane spalinami z lokomotyw. Jazda metrem wydawała się im czymś piekielnym, na co zastrzegają może kryminaliści, ale nie porządni ludzie. Dżentelmeni z damami jeździli wagonikami pierwszej klasy; trzecią podróżował lud roboczy.

Dziś łączna długość torów wynosi 402 km (45 proc. biegnie pod ziemią, a metro zarządza 10 proc. zielonych terenów stolicy). Przewozi 3–4 mln osób dziennie (rekord podczas ostatniej olimpiady: 4,4 mln). Londyńczycy narzekają na tłok, awarie, myszy, ale Tubę kochają. Bez niej nie byłoby Londynu, jaki zapisał się w historii nie tylko transportu publicznego, lecz także cywilizacji i gospodarki, czego niestety nie można powiedzieć o naszym powstaniu.





© AP/ISTOCK NEWS

Odbijanie Azawadu

W pierwszej wojskowej interwencji tego roku Francja niespodziewanie wsparła Mali w walkach z rebelią Tuaregów i muzułmańskich radykałów. Zeszłej wiosny buntownicy podbili całą północ kraju, tzw. Azawad. Wprowadzili tam ostrą formę szariatu, są też powiązani z Al-Kaidą i wzywają do dżihadu w całej Afryce Zachodniej, stąd obawa, że – jak kiedyś afgańscy talibowie – zorganizują bezpieczną przystań dla terrorystów.

Dotąd rząd Mali kompletnie nie radził sobie z buntem, teraz powstanie jest w odwrocie. Wystarczyły dwa dni „Operacji serwal”, ataki kilku francuskich myśliwców startujących z Czadu oraz działania półtysięcznego kontyngentu francuskiej piechoty walczącego u boku malijskiej armii rządowej. Natychmiastową pomoc obiecały państwa regionu, ich wojska chcą przerzucić m.in. Brytyjczycy, z kolei Stany Zjednoczone przyrzekły samoloty bezzałogowe. W pierwszych dniach starć zginęło około stu powstańców, kilkunastu malijskich żołnierzy, 11 cywili, w tym trójka dzieci oraz pilot francuskiego helikoptera.

Premier Francji chce, żeby interwencja nie trwała dłużej niż kilka tygodni. Jednak eksperci ostrzegają: naloty to dopiero początek. Azawad jest ogromnym pustynnym terytorium, blisko trzy razy większym od Polski, bez dróg i tylko z niewiele ponad milionem mieszkańców. Tuaregowie stawiają zacięty opór, są u siebie, natomiast regionalni sojusznicy nie są wystarczająco przygotowani. Francja ma i inne powody do obaw. Ceną operacji może być życie ósemki Francuzów przetrzymywanych przez zachodnioafrykańskich islamistów, bezpieczeństwo kilkudziesięciu tysięcy obywateli francuskich mieszkających w regionie, a nawet zamachy w samej Francji.

Kopiuje i wkleja

Kolejną wizytówką nowego Pekinu ma być futurystyczny projekt supergwiazdy światowej architektury Zahy Hadid, kompleks Wangjing Soho. Ale okazało się, że bliźniaczy, rzecz jasna bez jej zgody, powstaje w 32-milionowym megamieście Chongqing. A co więcej, tamten jest już bardziej zaawansowany i pewnie przegoni pekiński oryginał. Kiedy rzecz się wydała, deweloper, firma Meiquan, tłumaczył poetycko, że to nie dzieło pani Hadid było inspiracją, lecz rzeźbione wodą kamienie nad rzeką Jangcy, nad którą leży Chongqing. Prawa autorskie w dziedzinie architektury są w Chinach mocno nieprecyzyjne, a technologia kopiowania i odtwarzania natury w 3D daje nieograniczone możliwości. W ten sposób przeniesiono tu całe austriackie górskie miasteczko Hallstatt, w Tianducheng powstała wieża Eiffla i Champs Elisée, w Chedgdu dla 200 tys. mieszkańców wierne odtworzono fragment Dorchesteru, a w Tianjin pnie się replika Manhattanu (która w 2019 r., kiedy zostanie ukończona, ma być, wedle projektantów, największym centrum finansowym świata). O licznych replikach Białego Domu nawet nie ma co wspominać, bo to już banał.



© AP

Niewidzialne półniewolnice

Lankijka Rizana Nafeek była jedną z nich. Świat dowiedział się o jej losie, gdy została skazana na karę śmierci w Arabii Saudyjskiej. Rizana w 2005 r. przyjechała do Saudii zarabiać na życie – swoje i rodziny – jako pomoc domowa. Czteromiesięczny chłopczyk, którym się opiekowała, zmarł. Dziewczyna broniła się, że niemowlę zakrztusiło się mlekiem. Aresztowana pod zarzutem zabójstwa, nieznająca arabskiego, pozbawiona opieki prawnej z prawdziwego zdarzenia, spędziła za kratami osiem lat z wyrokiem śmierci. Mimo interwencji wielu organizacji praw człowieka i władz Sri Lanki, z prezydentem Mahindą Radżapakszą na czele, i samej rodziny prośby o ułaskawienie lub złagodzenie kary zostały odrzucone przez wszystkie instancje saudyjskiego aparatu sądowego. Amnesty International alarmowała, że kobieta w momencie skazania była niepełnoletnia, a prawo międzynarodowe zakazuje egzekucji dzieci. Tydzień temu Rizana została ścięta mieczem.

Międzynarodowa Organizacja Pracy (MOP) szacuje obecną liczbę pomocy domowych w świecie na około sto milionów, 86 proc. to kobiety. Zaledwie 10 proc. tych „niewidzialnych” pracuje legalnie i korzysta z odpowiednich uprawnień. Zdecydowana większość jest traktowana jak półniewolnice i fatalnie opłacana, a kobiety bywają często obiektem agresji, także seksualnej. Konwencja o prawach „niewidzialnych” MOP, przyjęta w 2011 r., wejdzie w życie w tym roku. Jak dotąd ratyfikowały ją Urugwaj, Filipiny i Mauritius.



© CORBIS

Wielkanocna chce sama

Gdyby chodziło o inną wysepkę tej wielkości, żądania autochtonów pewnie nie miałyby takiego echa. Ale tu chodzi o Wyspę Wielkanocną i 1,5 tys. rdzennych Rapa Nui (na ok. 5 tys. mieszkańców), którzy myślą o ogłoszeniu niepodległości oraz planują zaskarżyć państwo chilijskie przed haskim Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości. Uważają, że odległa o 4 tys. km stolica (Chile zagarnęło wyspę w 1888 r.) ruguje ich z ziemi i z biznesu – i w istocie pozbawia prawa do decydowania o losach ojcowizny. Domagają się ograniczenia ruchu turystycznego, rosnącej chilijskiej imigracji, dopominają o służbę zdrowia i edukację. Od blokady lotniska dwa lata temu (aby ograniczyć czas pobytu turystów na wyspie, przybywa ich tu co roku 65 tys.) sytuacja systematycznie się pogarsza. Raz, podczas okupacji lokalnego budynku, który miał być przekształcony w luksusowy hotel, interweniowały wysłane na wyspę chilijskie siły porządkowe. Zdaniem prezydenta Sebastiana Piñery, cytowanego przez „Le Monde”, da się tu znaleźć pokojowe rozwiązanie, ale w ramach przynależności do Chile. Zobaczymy.



© GETTY/FP

Przemysł mamuci

Deputowani regionalnego parlamentu Republiki Jakucji opracowali projekt ustawy uznającej kły mamutów za „naturalny surowiec mineralny i przemysłową kopalinę”, na równi z węglem, gazem i ropą naftową. Nowe prawo pozwoli na legalizację biznesu wydobywania kłów, czyli jego opodatkowanie. Dotychczas szczątki tych prehistorycznych zwierząt były określane prawnie jako „paleontologiczny materiał kolekcjonerski”. W Jakucji znajduje się 80 proc. rosyjskich zasobów kłów mamuta. Według miejscowych danych, tylko na północy republiki może zalegać 450 tys. ton kłów o szacunkowej wartości 1,5 mld dol.

Tylko na papierze?

Prezzydent Turkmenii Gurbanguly Berdimuhammedow podpisał pierwszą w historii tego kraju ustawę o mediach. Zawiera zestaw imponujących wolności. Ma znieść cenzurę, zagwarantować obywatelom prawo do swobodnego wyrażania poglądów oraz zapewnić im pełny dostęp do mediów zagranicznych.

Obecnie w Turkmenii działa jedna agencja informacyjna, siedem kanałów telewizyjnych, pięć stacji radiowych i 39 tytułów prasowych, przy czym właścicielem zdecydowanej większości z nich jest prezydent kraju. Media mają charakter wyłącznie propagandowy, brakuje w nich materiałów krytycznych o jakimkolwiek charakterze. Represje spotykają dziennikarzy zajmujących się naruszaniem praw człowieka. Jeśli więc nowa ustawa nie będzie przestrzegana, a wiele na to wskazuje, nie będzie komu o tym poinformować. Chytrze pomyślane.

Australia stawia na Azję

Rosnąca potęga Chin to raz. Siła azjatyckich emigrantów, których w Australii niedługo będzie więcej niż przybyszów z Europy – to dwa. Premier Julia Gillard ogłosiła nową australijską strategię wobec Azji. W ciągu najbliższych lat Canberra ma odpowiednio przeorientować swoją politykę zagraniczną, otworzyć się na współpracę gospodarczą i społeczną. I, idąc znacznie dalej niż inni, znacznie budować społeczeństwo

komunikujące się w różnych azjatyckich językach.

Zgodnie z założeniami rządowego raportu „Australia w wieku Azji”, oprócz zachodniego języka, australijscy uczniowie i studenci będą uczyć się przynajmniej jednego z kilku proponowanych języków azjatyckich. Do wyboru będzie mandaryński, czyli najpopularniejszy język w Chinach, japoński, indonezyjski i hindi, którym mówi się w Indiach. Pojawia się również zajęcia na temat azjatyckich społeczeństw i cywilizacyjnych osobliwości. Będą one trwały przez cały okres edukacji. Według założeń, do 2025 r. jedna trzecia wszystkich australijskich wyższych urzędników i dyrektorów wiodących spółek publicznych będzie się mogła wykazać solidną wiedzą na temat Azji i znajomością któregoś z azjatyckich języków.



© PAPI/EP

Kołysanie potwora

Skąd po ponad 20 latach demokracji wzięli się w służbie III RP faceci przesłuchujący ludzi po nocach? Dlaczego wyciągają z mieszkań mdlejące kobiety, na oczach dzieci wywlekają matkę z samochodu i zatrzymują anesteziologa podczas ostrego dyżuru, zamiast przysłać mu wezwanie na przesłuchanie?

JACEK ŻAKOWSKI

Za – 354 głosy, 20 wstrzymujących się. I tylko 43 przeciw. Mało który projekt miał w Sejmie takie poparcie jak ustawa o Centralnym Biurze Antykorupcyjnym. Jest to może najbardziej wyrazisty ze znanych mi przykładów największej słabości każdej demokracji: grozy bezmyślnej jednomyślności, czyli owczego pędu.

Zanim ustawa o CBA została uchwalona, wszystkie okoliczności owczego pędu były dobrze widoczne. Najpierw była korupcyjna psychoza. Typowy dla głębokich transformacji problem wysokiego poziomu korupcji, którą można stopniowo ograniczać za pomocą dobrze znanych rozwiązań systemowych, nasycono emocją pozwalającą uczynić z niego paliwo polityczne. Zapobieganie korupcji, ujawnianie jej i karanie zastąpione zostało nośną politycznie ideą „walki z korupcją”.

„Walka z korupcją” była jednym z najwyżej niesionych sztandarów budującego IV RP PO-PiS. Ale właśnie „walka”. Nie ograniczenie korupcji. To, że 43 posłów (lewicy) głosowało przeciw, świadczyło o sporej odwadze cywilnej. Bo radykalna parlamentarna większość stawiała sprawę ostro: popierasz CBA czy korupcję? IV RP z Rokitą, Kaczyńskim i Ziobrą na czele wynalazła wtedy i wyszlifowała w komisji rywinowskiej nowy język polityczny, wobec którego użytkownicy starego języka byli bezradni jak dzieci. Bez końca słychać było niestworzone historie o wszechogarniającym układzie,



a próby o szczegóły kwitowano tajemniczymi minami i sakramentalnym: wiem, ale nie powiem. Kto opowiadał, słyszał, że trzęsie portkami, bo boi się prawdy.

Wielu sensownych ludzi temu szantażowi uległo i zamilkło. Nawet SLD, pogruchotane aferą Rywina, nie miało siły głośno protestować. Zastrzeżenia dotyczyły istotnych szczegółów, ale nie samej idei. Katarzyna Piekarska występująca w imieniu lewicy też mówiła o koniecznej walce z korupcją i deklarowała zaufanie do Mariusza Kamińskiego, choć było wiadomo, że jest to radykał, który m.in. organizował obrzucenie prezydenta Kwaśniewskiego jajami podczas jego wizyty we Francji. Zastrzeżenia budziły brak kontroli i zbyt daleko idące uprawnienia.

Poseł Waldemar Starosta z Samoobrony, sprawozdawca poprawek senackich, odpowiadając na ekspercką i medialną krytykę projektu, mówił: „należy jednoznacznie uspokoić wszystkich uczciwych Polaków (...) ustawa o CBA nie jest bowiem wymierzona przeciwko nim”. Julia Pitera, która w ostatecznej debacie wyrażała stanowisko PO, najpierw dłuższą chwilę wymieniała słabości ustawy, a potem zapowiadając, że Platforma ją poprze, wygłosiła dziecinnie naiwny apel, „żeby ta służba działała rzeczywiście dla dobra Polski, dla dobra obywateli, żeby wreszcie korupcja znikła, żeby nikt nigdy nie miał pokusy używania tego urzędu do żadnych innych celów”.

Czy poseł Starosta nie rozumiał, że właśnie popiera powstanie partyjnej tajnej policji PiS?

I że jej najważniejszym celem będzie zapewnienie Kaczyńskiemu monopolu władzy, czyli także podporządkowanie sobie Samoobrony? Czy Andrzej Lepper wiedział, że głosuje za gilotyną, która obetnie mu głowę? Czy Julia Pitera mogła nie rozumieć, że popierając powstanie CBA, wyposażonego w superkompetencje, podległego wyłącznie premierowi i postawionego ponad wszystkimi innymi służbami oraz instytucjami państwa, faktycznie popiera autorytarny zwrot w polskiej polityce?

Czy nie rozumiała, że tworzy infrastrukturę najgroźniejszego rodzaju politycznej korupcji, czyli bezprawnym represji wobec konkurencji? Czy Katarzyna Piekarska, wiedząc, że ta ustawa przejdzie głosami Sojuszu lub bez nich, szczerze wierzyła w sensowność takiej „walki z korupcją”? Czy naprawdę wierzyła w uczciwość Mariusza Kamińskiego? I czy nie wyobrażała sobie, że właśnie daje miękkie przyzwolenie na to, co potem robiono z Barbarą Blidą?

Nie wydaje mi się. Samoobrona i SLD były w politycznym potrzasku. Głosy PiS i PO wystarczały do uchwalenia ustawy. Platforma zaś popierała CBA nie mniej entuzjastycznie niż PiS, chociaż wolałyby mieć tam jakieś wpływy. Obie partie nie tylko

nie miały żadnego lepszego pomysłu, co z problemem korupcji zrobić, ale też nie chciały sobie ograniczać swobody, uchwalając przepisy antykorupcyjne funkcjonujące w zachodnich demokracjach. Wolały spektakularny fajerwerk nowej tajnej służby.

Jarosław Kaczyński otwarcie prezentował wówczas w Sejmie naukową racjonalizację takiego wyboru, powołując się na tzw. efekt demonstracji, na którym opiera się m.in. społeczna efektywność terroru. Polega on na tym, że zwykle wystarczy spektakularnie napiętnować (powiesić na latarni, ściąć na gilotynie, aresztować w świetle jupiterów) jednego (nieważne, winnego czy nie), żeby zdyscyplinować ogół. Na tej samej teorii oparta była lustracja w wydaniu IV RP.

Każdy zajmujący się polityką dorosły miał obowiązek wiedzieć, ku czemu to zmierza.

Gołym okiem można było zauważyć, że korupcja mało kogo w Sejmie interesowała (podobnie jak lustracja niezbyt interesowała głównych lustratorów; dlatego biograficzna słabość Zyty Gilowskiej nie była problemem, a potknięcia innych eksploatowano bez końca).

Kiedy w podniosłym nastroju uchwalano ustawę o CBA, parlament roił się od lobbystów, a międzynarodowa prasa pisała, za ile w Polsce kupuje się ustawę, ale sejmowy rejestr lobbystów był tak pusty jak teraz. I jak teraz nikt się tym nie przejmował. Podobnie w ministerstwach. A do rad nadzorczych rząd powoływał politycznych kolegów i krewnych polityków.

W samorządach było jeszcze gorzej. Nikt nawet nie chciał dociekać, dlaczego w Warszawie szefem przedsiębiorstwa taksówkowego został związany z PiS publicysta. Trudno więc było się ludzić, że twórcom CBA chodzi o korupcję, a nie tylko o walkę.

Ale szantaż działał. Każdy, kto się sprzeciwiał, musiał się liczyć z tym, że nowa władza w właściwą sobie bezwzględnością na niego zapoluje w pierwszej kolejności. I że bez wahania użyje insynuacji, pomówienia, oszczerstwa, by go usunąć ze sceny, podobnie jak usunęła Cimoszewicza, gdy w kampanii prezydenckiej stał się zagrożeniem dla kandydatów PO-PiS. W dużym stopniu dlatego tak wiele osób zazwyczaj mających coś do powiedzenia w każdej publicznej sprawie siedziało wtedy cicho. Na klasę polityczną efekt demonstracji działał jeszcze lepiej niż na inne grupy społeczne.

Było jednak coś jeszcze, co wzmagało wrażenie groźnej jednomyślności, a może ją tworzyło. Po sprawie Rywina zbiorowymi emocjami klasy politycznej zawładnęła najgorsza część tradycji polskich elit. Idea CBA, jak chyba żadna inna, od początku wyrażała dwie groźne obsesje elity politycznej, które jakimś cudem przeszwarcowały się do III RP z historycznej pamięci rozbiorów i mroków PRL. Mesjanistyczna, w istocie antydemokratyczna – autorytarna lub republikańska – figura wrogiego państwa, wrogiego społeczeństwa i samotności nielicznej szlachetnej elity jest w polskiej polityce nieustannie obecna przynajmniej od półtora wieku. Nie jest tu specjalnie istotne, co to jest za państwo i skąd się wzięła kontrolująca je władza.

Polskie elity powszechnie podziwiają marszałka Piłsudskiego i jego *zwischenruffy* w rodzaju „Rzeczpo- ▶

Każdy, kto się sprzeciwiał
idei CBA, musiał się liczyć z tym,
że nowa władza z właściwą
sobie bezwzględnością na niego
zapoluje w pierwszej kolejności.
I że bez wahania użyje insynuacji,
pomówienia, oszczerstwa,
by go usunąć ze sceny.

► spoliła to burdel, konstytucja to prostytutka, a posłowie to kurwy” czy „tylko dzięki litości Boskiej ludzie w tym kraju nie na czworakach chodzą, a na dwóch nogach udając człowieka”. Trudno to uznać za pożyteczny kulturowy kapitał demokracji. A zwłaszcza współczesnej liberalnej demokracji w jej europejskim wydaniu.

IV RP przyniosła apogeum tego pogardliwego nurtu. Można to łatwo zrozumieć poprzez słynną metaforę Rokity mówiącego, że Polska wymaga szarpnięcia cugami. Ale jaka wizja publicznego porządku stoi za taką metaforą? Jest to wizja siedzącego na najwyższym koźle politycznego mesjasza, który rozbrykane bezmyślne zwierzęta dla ich własnego dobra poddaje właściwej dyscyplinie, by dzikim harcom zaprzęgu nadać pożyteczny kierunek. Czyli żebyśmy – wedle formuły Piłsudskiego – jako społeczeństwo lepiej udawali człowieka. Wędzidła wiążące szarpane przez Rokitę cugle (potem się okazało, że przez Kaczyńskiego i Ziobrę) miały zrobić z nas ludzi. Jednym z tych wędzideł miało być CBA.

Można odnieść wrażenie, że są to interpretacje zbyt daleko idące. Ale krótki okres sprawowania władzy pod szyldem IV RP pod wieloma względami był kontynuacją wcześniejszej praktyki i ma kontynuację do dziś. Codziennym objawem jest kompletny brak zainteresowania polityków poważną publiczną debatą z udziałem społeczeństwa.

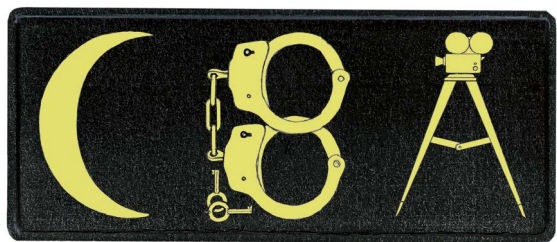
Zmiany w OFE pod rządami PO-PSL były pierwszą reformą poddaną takiej debacie. Wcześniej decyzje podejmowano w elitarnych gronach i przepychano kolanem, bo dominował wyrażony najlepiej przez Jacka Kurskiego pogląd, że z „ciemnym ludem” poważnie rozmawiać nie warto. Można oczywiście powiedzieć, że media nie kwapiły się, by tworzyć przestrzeń społecznej debaty. Ale też politycy nie zrobili nic, by taka przestrzeń powstała, czego wyrazem jest zaprogramowany uwiad mediów publicznych.

Pod względem stosunku elit politycznych do obywateli i państwa, III RP zawsze odstawała i nadal odstaje od unijnej średniej.

Na długo przed epoką Ziobry i Kaczyńskiego przodowaliśmy pod względem powszechności i długo-trwałości aresztów, represyjności prawa, ograniczeń wolności słowa (ze słynnym art. 212), złych warunków panujących w więzieniach. Prezesa Kluskę III RP zrzucała i maltretowała na długo przed pojawieniem się Ziobry. Byłego prezesa NBP i prezesa Orłenu polskie państwo napadło równie ostentacyjnie, brutalnie i bezpodstawnie jak doktora G. To nie były tylko incydenty. To jest kultura korporacyjna władzy, która ma zakorzenioną niechęć do obywateli. Umarzane po latach sprawy przeciwko byłym członkom rządu powierzano na przykład prokuratorom mieszącym się setki kilometrów od domów, będących już prywatnymi osobami oskarżanych, kompletnie nie licząc się z komfortem obywateli zmuszonych na każde wezwanie jeździć choćby z Gdańska do Krakowa lub z Krakowa do Białegostoku. Było (i jest) w tym wredne okrucieństwo niezbyt starannie chowane za dobrem jakichś procedur.

Rewersem wrogości i bezmyślnego okrucieństwa władzy wobec obywateli była (i jest) ostentacyjna i równie bezmyślna wrogość politycznych elit wobec instytucji państwa. Najlepszym przykładem była niesiona przez IV RP idea taniego państwa. Jej promotory pytani o szczegóły nie mieli pomysłów lepszych niż oszczędzanie ołówków i papieru albo masowe zwalnianie urzędników, choć Unia zwracała nam uwagę, że polska administracja jest zbyt szczupła i niedoinwestowana. To nie miało znaczenia. Podobnie jak w przypadku CBA i IPN, chodziło o dokopanie wrogom. Tym razem „urzędasom”.

Idea CBA perfekcyjnie wpisala się w obie te wrogości. Bo wyrażała zarazem fundamentalną niechęć wobec obywateli i państwa. Nowa instytucja miała nie tylko badać podejrzane związki między tymi dwoma bytami, ale też stać ponad nimi. Ponad innymi służbami i instytucjami państwa (z wyjątkiem premiera) oraz ponad przysługującymi obywatelom prawami.



Ustawa o CBA tak została skrojona, żeby stać się narzędziem w wielkiej wojnie mesjanistycznej elity z państwem i społeczeństwem, które ta elita uważała za wrogie.

Ustawa o CBA tak została skrojona, żeby stać się narzędziem w wielkiej wojnie mesjanistycznej elity z państwem i społeczeństwem, które uważała za wrogie. Ludzie, którzy do CBA szli – od szefa Mariusza Kamińskiego po prostego funkcjonariusza – wiedzieli, że idą na wojnę, z kim będą walczyli i jaki jest cel. Było nim dostarczenie nowej władzy dowodów wszechogarniającego zła mającego legitymizować obalenie istniejącego ładu. Nie demokracji w sensie konstytucyjnym, ale tej, która realnie istniała. Taki cel wart był nie tylko mszy, ale też użycia z pełną determinacją wszystkich dostępnych środków, jakie znali z kina lub z pracy w innych służbach. Tylko trochę bardziej.

Nie pomniejszam win braci Kaczyńskich, Zbigniewa Ziobry, Mariusza Kamińskiego ani ich tragikomicznie kiczowatych playboyowatych agentów i agentek. Uwodzących posłanki i pielęgniarki, szpanujących sportowymi autami kupowanymi z pieniędzy podatników, nieudolnie zastawiających pułapki na ważnych polityków lub wymyślających afery i je nakręcających, a wreszcie z całym okrucieństwem wywlekających bezbronne kobiety z mieszkań, urządzających najścia w kominiarkach na dyżurujących lekarzy i bawiących się łamaniem świadków podczas nocnych przesłuchań.

Bez względu na to, co oświadczy płynąca wciąż tym nurtem prokuratura i co jeszcze powiedzą broniący się politycy IV RP, było to okropne, karygodne, ewidentnie niekonstytucyjne, niedemokratyczne i niepraworządne. Trzeba to wreszcie uczciwie oraz wnikliwie osądzić i rozliczyć. Ale nie wolno się łudzić, że był to tylko incydent czy jakaś grypa szalejąca w ogólnie zdrowym organizmie.

Fakty ujawnione przez sędziego Tuleję były wstrząsające. Ale jest wiele powodów, by sądzić, że ten wstrząs w większym stopniu wynika z odwagi sądu, który zebrał je i wreszcie publicznie nazwał, niż z wyjątkowości opisanych przez niego sytuacji. To jest nasz zasadniczy problem. IV RP szczęśliwie za nami. Ale V RP – jeśli kiedyś przyjdzie – nie musi być lepsza.

JACEK ŻAKOWSKI

POLITYKA CYFROWA



Polityka Cyfrowa to nowy sposób na stałą, szybki i wygodny dostęp w trybie online do bieżącego wydania i archiwalnych treści POLITYKI. Czytaj nasz tygodnik w innowacyjnej formie w komputerze, tablecie, e-czytniku i smartfonie.

Polityka Cyfrowa. Dostępne formaty:



APLIKACJA WWW



PDF (e-wydanie)



MP3 (pliki audio)



ePUB

Polityka Cyfrowa. Co zyskujesz?

- Taniej** – oszczędzasz nawet do 50% w stosunku do ceny wydań drukowanych.
- Szybciej** – najnowszy numer POLITYKI już we wtorek wieczorem.
- Więcej** – dostęp do AudioPolityki, wydawnictw specjalnych, archiwum POLITYKI.
- Łatwiej** – płatność poprzez popularne systemy transakcyjne.
- Bez ryzyka** – darmowa wersja demonstracyjna.
- Bez barier** – możliwość przenoszenia plików między urządzeniami.
- Wygodniej** – wystarczy dostęp do Internetu.

Polityka Cyfrowa funkcjonuje na zasadzie prenumeraty.

Wypróbuj za 1 zł ▶

WWW.POLITYKA.PL/CYFROWA



© TEDEUSZ POŹNIAK

Sędziowie lubią awansować

Rozmowa z **Jerzym Stępiem**, byłym prezesem Trybunału Konstytucyjnego, o tym, co sędziom wypada, a co nie przystoi, z czego są rozliczani i dlaczego tylu wśród nich oportunistów

MAREK OSTROWSKI: – Czy sędzia Igor Tuleya miał prawo surowo oceniać działania CBA?

JERZY STĘPIEŃ: – Sędzia ma obowiązek ocenić, czy dowody zostały zdobyte w sposób właściwy. Kodeks i bogate orzecznictwo określają, jakie dowody trzeba zdyskredytować. Na przykład kiedy świadek nie miał swobody wyrażenia tego, co chce powiedzieć.

Czy wrzawa po tym wyroku będzie dla innych sędziów przestroga czy zachętą?

Mam nadzieję, że zachętą, by byli takimi, którzy nie kłaniają się okolicznościom. Że pojawi się więcej sędziów odważnych.

System do samodzielności i odwagi nie zachęca.

Bardzo rozbudowany, hierarchiczny system polskiego sądownictwa w naturalny sposób skłania ludzi na dole hierarchii do jak najszybszego awansu. Alexis de Tocqueville pisał, że najgorszą rzeczą dla ustroju jest sędzia, który chce awan-

sować. Trzeba robić wszystko, by szczebli awansowych było jak najmniej, a najlepiej, by sędzia nigdy nie awansował, tylko raz był powołany na jedno stanowisko.

Czemu to awansowanie ma być takie złe?

Bo wtedy sędziowie funkcjonują w ramach paradygmatu urzędniczego. Powiedziałem to na pewnej konferencji i sędziowie się obruszyli: – Nie czujemy się urzędnikami! Mogą się nie czuć, ale struktura uwikłanie to im narzuca.

Teraz wprowadzono oceny okresowe, przecież to instytucja typowa i charakterystyczna dla urzędnika służby cywilnej. Bada się, czy oceniany nada się do następnych awansów. Sędziowie ciągle myślą o awansach. Kiedy będę awansować? Ano wtedy, kiedy orzeczenia będą akceptowane wyżej. To hamuje odwagę. Dlaczego ów Tuleya jest taki świetny? Bo nie chciał awansować! Nie pchał się, czekał na awans kilka lat. A jak już trafił, gdzie jest, to powierzano mu najcięższe sprawy.

A urzędnik nie będzie szafarzem sprawiedliwości?

Właśnie. Kieruje się innymi kryteriami. Znam taką historię: pewien aplikant adwokacki i asesor dobrze się znali. Aplikant przyszedł na sprawę jako obrońca oskarżonego. Asesor wydał wyrok skazujący, ale ku zdumieniu aplikanta mówi mu po sprawie: przekonałeś mnie, on jest niewinny. To dlaczego go skazałeś? – pyta aplikant. – Gdybym go uniewinnił, prokuratura zaskarżyłaby wyrok i druga instancja na pewno by wyrok uchylili do ponownego rozpoznania. A tak wy zaskarżycie i druga instancja go uniewinni. – Jaka różnica? – Ja nie będę miał uchylonego wyroku – mówi asesor. Otóż liczba uchyleń najbardziej obciąża sędziego przy ewentualnych awansach. Piszą w opinii: nie potrafił przeprowadzić postępowania odpowiednio, wyjaśnić okoliczności itd. Pół biedy czy wyrok jest sprawiedliwy, czy nie. Kryterium najważniejsze: czy wszystkie zasady sztuki zostały zachowane? Człowiek w tym wszystkim mniej się liczy.

Minister nie powinien oceniać wyroków?

Niedopuszczalne, by minister oceniał zachowania sędziów.